

Ten facet to dopiero jest ktoś!

LEE CHILD

Steve Cavanagh

# WKREĆCENI

Nie pozwól, by **MORDERSTWO** stało  
na drodze naprawdę dobrej historii!

ALBATROS

## POCZĄTEK KOŃCA

*Sierpień*

W prażącym południowym słońcu Paul Cooper stał przed teatrem przy La Brea Avenue z rewolwerem w kieszeni i głową pełną kiepskich pomysłów. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, otarł czoło rękawem koszulki i jeszcze raz przebiegł w myślach swój plan.

Poczekaj, aż wyjdą wszyscy goście. Udało mu się stanąć przy samej barierce odgrożonego przejścia między teatrem a ulicą. Goście w drodze do limuzyn czekających przy chodniku przejdą tuż obok niego. Będzie miał stąd idealny widok na wychodzących ludzi. Jego cel gdzieś się tu ukrywa, nie miał co do tego wątpliwości. Najprawdopodobniej w lokalu. Raczej nie w ciżbie zgromadzonej przed wejściem, mimo to Paul uważnie obserwował otaczające go twarze. Nie może zaprzepaścić tej szansy. Kiedy zobaczy swój cel, wyciągnie z kieszeni spodni trzydziestkęsemkę i pociągnie za spust.

Przed lokalem kłębił się tłum. Dwieście lub trzysta osób tłoczyło się po obu stronach barierki. Składali hołd swemu nieżyjącemu idolowi. W teatrze tego dnia nie odbywało się przedstawienie. Salę zarezerwowano na uroczystość upamiętniającą zmarłego J.T. LeBeau.

Ceremonia rozpoczęła się z opóźnieniem i przebiegała wolniej, niż przewidziano w programie. Jak na wszystkich ceremoniach żałobnych, mowy przeciągały się w nieskończoność. Co organizatorzy mogli na to poradzić? Mieli siłą ściągnąć ze sceny Stephena Kinga czy Johna Grishama? Podczas gdy w klimatyzowanej sali najslawniejsi pisarze czytali fragmenty utworów LeBeau, jego miłośnicy na dworze trzymali w wyciągniętych dłoniach książki, wznosili tabliczki, śpiewali i pocieszali się nawzajem w tej zbiorowej przedwczesnej żałobie.

Paulowi zrobiło się niedobrze. Albo z powodu upału, albo zbiorowej hysterii, która otaczała go ze wszystkich stron, przez te wszystkie dorosłe kobiety oplakujące zmarłego pisarza. Albo z obu powodów. Albo od wódki. Musiał wypić kilka mocnych drinków, żeby przestały mu się trząść ręce.

Tak naprawdę nie przepadał za zabijaniem. Jeszcze się nim nie rozbawił. Owszem, miał na rękach krew, nawet dużo, ale to było co innego. To była szczególna sytuacja.

Za każdym razem, kiedy z tłumu dobiegało nazwisko zmarłego pisarza, nóż w jego trzewiach przekręcał się trochę mocniej. Chociaż nazwisko J.T. LeBeau znali wszyscy, to nie można było tego samego powiedzieć o jego twarzy. Przeciwnie, żaden z wielbicieli słynnego pisarza, którzy czekali przed lokalem, nigdy nie widział go na oczy. Mogli mieć każde wydanie jego powieści, mogli nawet zdobyć jeden z nielicznych egzemplarzy jego najslawniejszego debiutanckiego utworu z autografem autora, lecz nikt nigdy nie spotkał swego idola. Nikt nawet nie widział jego zdjęcia, a co dopiero mówić o spotkaniu twarzą w twarz. A teraz już na pewno nikomu się to nie uda. Zmarli pisarze nie składają autografów.

Tylko cztery osoby na świecie wiedziały, kim naprawdę był J.T. LeBeau. A jedna z nich wkrótce dostanie kulę .38 Special z pistoletu ukrytego w kieszeni Paula Coopera.

Otworzyły się szklane drzwi i z teatru na upiorny kalifornijski upał wyległy tłumy uczestników żałobnej ceremonii. Oczywiście wszyscy byli przygotowani na taki skwar – na kościstych barkach mężczyzn wisiały jasne lniane garnitury. Większość preferowała białe lub kremowe marynarki z czarnymi krawatami, które miały wystarczyć za symbol żałoby. Czarny garnitur w tym upale byłby zabójczy. Kobiety, bardziej niż mężczyźni skłonne poświęcić wygodę na rzecz etykiety, miały na sobie ciemne jedwabne sukienki, które przyklejały im się do nóg, kiedy poprawiały kapelusze i zakładały okulary przeciwsłoneczne.

Krople potu spływały Paulowi po policzku i wsiąkały w brodę. Chwycił w garść przód koszulki i wycierając nią twarz, odsłonił na chwilę błądy brzuch. Kiedy ją opuścił, wilgotny materiał natychmiast przykleił się do ciała. Poczuł w kieszeni ciężar rewolweru. Czuł go również w myślach. Stał na postumencie barierki i wyciągając szyję, rozejrzał się nad głowami otaczających go ludzi. Nigdzie nie widział swojego celu. Zaczęły go ogarniać wątpliwości, czy jego plan wypali. Może jednak cel się nie pokaże.

I nagle nie było już czasu na zastanawianie się.

Jest. Na czerwonym dywanie. Niecałe dwa metry od niego. Mija go z pochyloną głową.

Dziesiątki razy wyobrażał sobie tę chwilę. Czy popatrzy przestraszony prosto w lufę wymierzonej w siebie broni? Czy krzyknie? Czy zdąży zareagować ochrona?

Otaczali go czterej ochroniarze. Szli po dwóch, powoli, czujnie. I podczas gdy cel, pochylając głowę, patrzył w dół, oni uważnie obserwowali tłum po obu stronach przejścia.

Gdy tylko rozlegnie się strzał, ochroniarze rzucą się w stronę Paula. Miał świadomość, że zamierza zabić człowieka w biały dzień na oczach pięciuset świadków. I wiedział, że się



z tego wywinie. To nie ulegało wątpliwości. I zarazem przedstawiało najłatwiejszą część planu. W końcu miał na koncie kilka trupów. Co najmniej kilka. A prawdopodobnie więcej. Tak łatwo traci się rachubę.

Najtrudniejsze będzie pociągnięcie za spust. Złapał jedną ręką za barierkę, drugą sięgnął do kieszeni i zamknął palce na rewolwerze. Powtarzał sobie, że potrafi to zrobić. Żołądek podszedł mu do gardła, aż poczuł na języku piekący kwas. Przełknął go i zdmuchnął z ust ściekający pot. Serce bębniło mu w uszach.

Pomyślał o wszystkim, co przecierpiał. Jeśli jest coś, co pomoże mu przetrwać następne dziesięć sekund, to gniew. Potrzebował go. Musi rozniecić w sobie wściekłość, zamienić ją w silnik, który napędzi go do tego czynu. Przez ostatnie miesiące nie mógł myśleć o niczym innym poza zemstą. Zemstą za zdrady, kłamstwa i ból.

Zrób to, pomyślał. Zrób to teraz!

Zaczął wyciągać broń. Nagle znieruchomiał. Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Człowiek za jego plecami pochylił mu się do ucha. Paul poczuł na szyi gorący oddech. Mimo tłumy otaczającego go ciasno ze wszystkich stron i adrenaliny, która dudniła mu w uszach, usłyszał te słowa wyraźnie niczym ryk trąby. Proste stwierdzenie. Wypowiedziane zwyczajnym głosem. Słowa, które przeszły go na wyłot.

– Wiem, kim jesteś – powiedział mu ktoś do ucha. – Jesteś J.T. LeBeau.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Cztery miesiące wcześniej*

To była ostatnia rzecz, jakiej Maria się spodziewała. Miłość.

Mimo to nie mogła dłużej zamykać na to oczu. Zakochała się w Darylu. Pięknym, czułym Darylu. Leżeli w łóżku w ciepłych promieniach słońca, w łagodnym powiewie wiatru wpadającego przez okno do sypialni – chwilowe wytchnienie od żaru namiętności. Czuła w jego włosach zapach morza. Jego wargi na swoich ustach. Jego dłonie na swoim ciele.

Tego popołudnia nie pragnęła niczego innego.

Oplotła go w pasie nogami, skrzyżowała kostki i mocno zacisnęła. Daryl zamknął oczy, rozchylił usta. Poczuła, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

Kiedy skończył, rozplotła nogi i delikatnie go odepchnęła. Zsunął się i opadł na łóżko obok niej. Odwróciła się na bok i popatrzyła przez wysokie okno na morze. Było spokojne i błękitne. Na skrawku piaszczystej plaży pod wzniesieniem, na którym stał dom, bawił się pies. Maria nasłuchiwała, ale nie słyszała szczekania. Za daleko. Po chwili w polu widzenia pojawiła się para młodych ludzi idących plażą. Dziewczyna pomachała psu patykiem, po czym rzuciła go na płytką wodę i objęła z powrotem swojego chłopaka.

Maria poczuła w żołądku rosnącą pustkę. Zaszło jej w gardle.

Odwróciła się i popatrzyła na Daryla. Leżał na plecach, jego umięśniony brzuch unosił się i opadał coraz wolniej. Pocałowała go. Była w tym pocałunku tęsknota. Wiedziała, że go kocha. Że to uczucie jest prawdziwe. I że ta pustka w żołądku bierze się z myśli, że być może nigdy nie będą spacerować razem po plaży. Na pewno nie tak, jak ta para z psem. Odsunęła się, ujęła w dłonie jego twarz.

Tak, kochała tego mężczyznę, ale była żoną innego. Myśl o mężu wywoływała wrażenie, jakby ktoś potracił gramofon i igła, przeskakując po winylowych rowkach rzeczywistości, ze zgrzytem próbowała zamienić ją w piosenkę miłosną. Maria ma do zrobienia kilka rzeczy. Musi posprzątać. Jeszcze raz go pocałowała. Tym razem cmoknięcie bardziej przypominało mobilizację do działania niż pocałunek. Rzeczywistość już się zakradała, aby zaanektować jej drogocenny czas spędzany z Darylem, ukraść go i wrzucić ją z hukiem w prawdziwy świat.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak – odparła. – Myślę właśnie, że muszę zmienić pościel.

– Daj mi chwilkę, to ci pomogę.

Wstał i poszedł do łazienki. Maria znalazła swoje ubranie na stercie w nogach łóżka i włożyła dzinsy i bluzkę. Związała gumką długie, czarne włosy, po czym zabrała się do zdejmowania pościeli. Kiedy miała coś do zrobienia, robiła to szybko. Nie znosiła lenistwa. Każde zadanie wykonywała z prędkością stu kilometrów na godzinę. Sprzątanie, pranie, szorowanie, chodzenie, nawet seks.

Prawie rozdarła poszwę, kiedy ściągała ją z kołdry. Zgarnęła ją i rzuciła za siebie, w stronę dużego lnianego kosza w łazience. Potem zdjęła prześcieradło, zwinęła je w kulkę,

lecz tym razem odwróciła się przed wrzuceniem go do kosza. Podeszła z powrotem do łóżka, żeby ściągnąć poszewki z poduszek, i poczuła pod stopą coś twardego. Spodnie Daryla. Podniosła je i też cisnęła do łazienki.

– Dzięki – powiedział Daryl.

Kiedy wrócił w niebieskich dżinsach do sypialni, Maria rozkładała już świeżą pościel, wyjętą z szuflady pod materacem. Daryl włączył radio na stoliku nocnym. Było nastawione na stację rockową, ulubioną muzykę jej męża. Wcisnął guzik wyszukiwania częstotliwości i znalazł stację z przebojami z lat osiemdziesiątych. Uśmiechnął się na dźwięk pierwszych akordów utworu A-ha. To była jedna z ulubionych piosenek Marii. I on o tym wiedział, poznała po jego cierpkim uśmiechu. Chwycił za drugi koniec prześcieradła i pomógł jej rozłożyć je na łóżku. Wcisnął brzegi pod materac bez zakładania rogów. Maria okrążyła łóżko, wyciągnęła je z powrotem i założyła materiał na rogach. Daryl uniósł materac, żeby mogła wsunąć prześcieradło pod spód. Jej mąż nigdy nie zmieniał pościeli. W niczym jej nie pomagał. Zaczęła się kołysać w rytm muzyki, czym wywołała szeroki, wyluzowany uśmiech na twarzy Daryla. Położył dłonie na jej biodrach, poczuł ich kołysanie, przyciągnął ją do siebie i łagodnie zaczął całować w kark. Roześmiała się i wymknęła mu z objęć. Wiedziała, jak to się skończy, jeśli jeszcze raz ją pocałuje. Znowu wylądują w łóżku. Nie potrafiła mu się oprzeć. Musiałaby znowu zmieniać pościel.

Wprowadzili się z mężem do tego domu tuż po ślubie. Za miesiąc będą obchodzić drugą rocznicę. Nie wyczekiwała tej daty z entuzjazmem. Za tydzień minie pięć miesięcy jej związku z Darylem. Wiedziała doskonale, na którą datę bardziej się cieszy. Cofnęła się zadowolona. Łóżko wyglądało nienagannie. Mąż się nie domyśli. Chociaż sytuacja dojrzewała do tego, że

pragnęła, aby się domyślił. Zachowywała tajemnicę, ponieważ nie chciała spłoszyć Daryla. Sprawy przybierały coraz poważniejszy obrót i z każdym dniem Daryl stawał się dla niej coraz ważniejszy. Za żadne skarby świata nie chciała tego schrzanić.

Od przyjazdu do miasta nie mogła znaleźć pracy. W Port Lonely nie było wielkiego zapotrzebowania na piarowców. Właściwie na nic nie było wielkiego zapotrzebowania. Nad ulicami unosiła się pustka nawet latem, kiedy na chodnikach roilo się od turystów i mieszkańców domów letniskowych. Miasto wyglądało jak raj bogatych dupków. Kilka przyzwoitych restauracji, jedna główna ulica z kilkunastoma sklepami, w których nikt nie sprzedawał niczego, co Maria chciałaby kupić. Poza tym dwa kluby golfowe i morze. To był cały Port Lonely.

Po upływie pierwszego roku w tym mieście Maria zaczęła się czuć, jakby zsuwała się w ciemną czeluść. Z początku flirtowała z mężczyznami w restauracjach, kiedy jej mąż od wielkiego dzwonu postanowił, że wyjdą gdzieś razem. Wyławiała najprzystojniejszego faceta w lokalu, ściągała na siebie jego uwagę, po czym z uśmiechem odwracała wzrok, gdy tylko odwzajemnił jej spojrzenie. Kiedy to nie pomagało, zastanawiała się nad posunięciem się o krok dalej. Może przygoda na jedną noc? Lecz nigdy tego nie zrobiła.

Jej mąż jeździł do pracy daleko i zostawiał ją samą. Mówił, że w marketingu trzeba pracować z ludźmi, najlepiej twarzą w twarz. Potem, w grudniu, poznała Daryla i wszystko się zmieniło. Gdyby się nie spotkali, prawdopodobnie do tej pory już by oszalała.

– Napuścić ci wody do wanny? – spytał Daryl. – Czy najpierw zapalimy?

Był na wpół ubrany. Jego koszula nadal leżała na krześle pod oknem, spodnie z niezapiętym paskiem trzymały się na biodrach, na twardym brzuchu lśniła warstewka potu. Lubił

ćwiczyć, nurkować, surfować i palić, niekoniecznie w tej kolejności. Palenie nie stanowiło problemu w motelach, z których korzystali poza miastem, lecz w domu było bardziej kłopotliwe. Po kochaniu z Darylem lubiła odprężyć się w wannie. Kąpiel ją uspokajała, pomagała pomału wejść w inne życie.

Zaschło jej w gardle, ale potrzebowała papierosa bardziej niż kąpeli. Nigdy nie paliła nałogowo, miała ochotę zapalić tylko po seksie lub butelce wina.

Daryl stał w milczeniu, patrząc na swoje paznokcie i czekając, aż odpowie. Maria przygryzała wargę i zwlekała z odpowiedzią, aby móc mu się przyglądać. Nie poszła z nim do łóżka, aby z nim rozmawiać. To nie był tego typu związek. Daryl nie przypominał ludzi, których znała. Lubiła jego niezależność i spokój. Aurę przystojnego cygana. Piękny ptak, którego postanowiła sobie zatrzymać. To nie znaczy, że był głupi. Wiedział różne rzeczy. Czy może, mówiąc ściślej: trochę wiedział o wielu różnych rzeczach. Lecz Marii to wystarczało. Ważne, że był atrakcyjny. Coś w jego jasnych, żółtawych włosach i surowych rysach twarzy przyciągało wzrok ludzi. Była szczęśliwa, kiedy mogła otulić się jego potężnymi ramionami i pałac papierosy, kołysać się łagodnie na osłonecznionym leżaku na werandzie.

– Poczekaj chwilę – powiedziała. – Wyjdziemy na dwór. Nie chcę, żeby w domu śmierdziało dymem.

Przerzucił sobie niedbale koszulkę przez ramię i poszedł pierwszy na dół. Dom nadal wyglądał jak na zdjęciu z katalogu agencji nieruchomości, a raczej jakby był na tym rynku od bardzo długiego czasu. Kremowa farba poszarzała, na suficie zaczęły się pojawiać pęknięcia, zamaskowane przez poprzedniego właściciela przed sprzedażą. Dwa tygodnie temu Maria zapytała, czy mogłaby zrobić mały remont. Czuła się podle, że musi prosić męża o taką rzecz. Odpowiedział, że nie. Podoba



mu się tak, jak jest, a ona musi sobie wymyślić inne zajęcie, najlepiej niezbyt kosztowne i takie, które mógłby kontrolować.

Poszła za Darylem przez kuchnię i szklane drzwi na werandę. Stały tam dwa bujane fotele, pomalowane na zielono w stylu vintage. Dla Marii wyglądały, jakby robił to jakiś mocno podstarzały gość i uwidoczniło się to w jego pracy.

– Niech to szlag – zaklął Daryl. Wyciągnął z dzinsów paczkę cameli i lustrował jej zawartość.

Maria patrzyła, jak wysypuje na dłoń dwa połamane papierosy i resztkę tytoniu.

– Och, przepraszam. Tak mi się zdawało, że poczułam coś twardego, kiedy nadepnęłam na twoje spodnie – powiedziała ze skrucą.

– Nieważne, skarbie. – Zgniótł w dłoni paczkę i zgniecione papierosy, po czym wyrzucił je na długi trawnik za werandą.

To był taki kontrast w porównaniu z tym, jak spędzała czas z mężem. Już jej nie przyciągał ten jego melancholijny wzrok. Zrozumiała, że nie da się go ożywić ani pomóc mu się otworzyć, tak jak sobie kiedyś wyobrażała. Gdy się poznali, był kochanym mężczyzną, lecz przepełniał go smutek. Maria dostrzegła w nim odbicie swojego własnego stanu ducha i wydawało się, że ich związek opiera się na kolejnych próbach leczenia się nawzajem. Sądziła, że potrafi go odmienić, sprawić, że odnajdzie szczęście i w ten sposób uzdrowi również w sobie to coś, co nigdy nie pozwalało się zadowolić. Okazało się to kiepskim pomysłem na małżeństwo. Byli niczym dwoje narkomanów próbujących się nawzajem wyciągnąć z uzależnienia. W końcu zdała sobie sprawę, że go nie zmieni, nie ogrzeje lodu, który tkwił w nim głęboko niczym rana.

Za to w Darylu nic nie musiało tajać, był ciepły i otwarty, wesoły i miły. Może trochę prosty, ale przecież wszystko, co w życiu najlepsze, jest właśnie takie – proste. Ta milcząca bli-

skość dzielona z Darylem na werandzie przynosiła jej nawet więcej głębszego zadowolenia niż seks.

– Wiem, gdzie znaleźć papierosy – powiedziała.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Słyszała, jak Daryl wchodzi za nią do domu. Zatrzymali się razem przed dębowymi drzwiami. Maria wyciągnęła rękę i sięgnęła na występ nad futryną. Poczuła pod palcami zimny metal. Wzięła kluczyk i otworzyła gabinet. Jej mąż bardzo surowo bronił własnej prywatności, mimo to zostawiał klucz do swojego gabinetu na półeczce nad drzwiami, głównie z jednego powodu – za tomem Dickensa trzymał ukryty rewolwer. Gdyby do domu wtargnął włamywacz, jego żona wiedziała, gdzie może znaleźć broń.

Zobaczyła ciemną boazerię gabinetu, rzędy książek wzdłuż ściany, globus w kącie pokoju, w głębi ciężkie, szerokie biurko, zwrócone przodem do wejścia, zieloną lampkę, laptopa i notes na biurku. Odsunęła się na bok, żeby wpuścić Daryla.

– Wiem, że gdzieś tu trzyma schowane papierosy. Czasem po kryjomu popała, czuję to od niego. I w pokoju również, chociaż myślę, że tego nie zauważam.

– No to najwyraźniej cię nie zna – stwierdził Daryl, obejmując ją w talii i całując w szyję.

Odepchnęła go żartobliwie. Jeśli go szybko nie powstrzyma, znowu zaczną się kochać. W łóżku to jedno, lecz uprawianie seksu na biurku w prywatnym gabinecie jej męża wydawało się jednak przesadą. Nie był złym człowiekiem, owszem, niekiedy dalekim i chłodnym, lecz Maria wiedziała, że ją kocha i okazuje tyle uczucia, ile potrafi. Dwa lata temu to wystarczyło, aby się pobrali. Teraz pomału uprzytomniała sobie, że wyszła za niego z niewłaściwych pobudek. Zakochała się w wyobrażeniu człowieka, jakim mógł się stać. Była młodą romantyczką. Teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, że ten czło-

wiek nie potrafi sprostać jej wyidealizowanym wizjom.

Zaczęli przeszukiwać półki, skrytkę w globusie, po czym Daryl podszedł do biurka, a Maria zajrzała za modele samolotów, samochodów i zdjęcia jej i męża, oprawione w ramki i stojące na półkach.

Nagle usłyszała trzask pękającego drewna i obejrzawszy się błyskawicznie, zobaczyła Daryla trzymającego w jednej ręce paczkę papierosów, a w drugiej pękniętą szufladę biurka.

– Znalazłem – oznajmił. – Cholera, przepraszam. Została mi w rękach. Wydawało mi się, że się zacięła, więc szarpnąłem.

– Cholera! – Z szuflady na dywan wypadły papiery i Maria zauważyła odłamany kawałek drewna przy zamku. – Jezu, na pewno to zauważy.

– Kiedy wraca?

– W niedzielę wieczorem.

Był piątek po południu. Szansa na znalezienie dobrego stolarza, który byłby w stanie naprawić szufladę i zamek w tak krótkim czasie, wydawała się Marii równie wątpliwa jak CV Daryla.

– Niech to szlag! Nie stój tak, pomóż mi to pozbierać – mruknęła.

Uklękli razem i zaczęli zgarniać luźne kartki, które wypadły z szuflady na dywan. Niektóre wypełnione były gryzmołami, inne szkicami strategii marketingowych dla klientów, jeszcze inne notatkami z jakiejś kampanii. Wmieszały się między nie również pożółkłe wycinki z gazet. Kiedy Maria ułożyła je wszystkie w staranną kupkę, odwróciła się do Daryla, by wziąć od niego papiery, które pozbierał.

Tylko że Daryl niczego nie układał. Z ustami otwartymi w idealne „o” wlepił wzrok w jedną kartkę.

– Wiesz, skarbie, domyślałem się, że nieźle wam się wie-

dzie, ale nie miałem pojęcia, że jesteście aż tacy bogaci – powiedział z głupawym uśmiechem.

Maria ściągnęła brwi i wyrwała mu tajemniczy arkusz. Jej mąż miał swoje inwestycje, swoje doradztwo marketingowe, które co roku przynosiło sześciocyfrowe dochody, lecz nie aż tak szokującego. Mieli też dwadzieścia tysięcy na koncie oszczędnościowym. Ogólnie byli dość zamożni, ale nie nadziani, jak nieustannie przypominał jej mąż.

Spojrzała na dokument. Wyciąg bankowy z zeszłego roku. Na konto z nazwiskiem jej męża wpłynęły dwa miliony dolarów. W lewym górnym rogu wyciągu widniał ich adres domowy. Sprawdziła datę dokumentu, popatrzyła na sumy. Znowu spojrzała na nazwisko, przyjrzała mu się litera po literze.

Jej mąż miał tajne konto bankowe.

W zeszłym roku dokonano na nie dwóch wpłat. W odstępie mniej więcej sześciu miesięcy. Za każdym razem milion dolarów. Jeszcze więcej wpłacono dwa lata temu. Saldo rachunku wynosiło dwadzieścia milionów dolarów.

Marii zaparło dech. Wzbierała w niej wściekłość. Skóra na szyi zaczęła ją piec, na twarz wystąpiły kropelki potu.

Jej mała sypialniana rebelia była niczym, absolutnie niczym w porównaniu z tym kłamstwem jej męża.

W tym momencie powiedziała coś, czego tak naprawdę nie myślała. Coś, w czym nie było ani grama prawdy, a mimo to, kiedy wyrzuciła z siebie te słowa, aż się zdziwiła, że coś takiego wyszło z jej ust.

– Zabiję go.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Była zbyt wściekła, żeby protestować, kiedy Daryl wioził ją swoim kabrioletem do miasta na drinka, na którego tak naprawdę wcale nie miała ochoty. Nie dbała o to, co wiatr robił z jej włosami; siedziała z łokciem opartym o drzwi, dłonią przyciśniętą do ust i patrzyła na morze pojawiające się i znikające za wysokimi skałami, kiedy samochód kluczył krętą drogą w stronę miasta. W pewnym sensie z ulgą wyrwała się z tego domu.

Daryl próbował z nią rozmawiać, ale źle go słyszała przez ryk silnika i ogłuszające chłostanie wiatru. W końcu przestał próbować. Wobec kłopotliwego milczenia, które zalegało po każdym jego pytaniu, skapitulował.

Tymczasem przed oczami Marii niczym znaki drogowe przelatywały wspomnienia scen z jej krótkiego małżeństwa.

Na przykład kiedy kupiła sobie drogie buty od znanego projektanta. Ta jego mina. Pierwsza rocznica ich ślubu, niekończące się utyskiwania na cenę szampana. Niewiele pił i nie widział wielkiej różnicy między jednym szampanem a drugim, więc czemu ona musi kupować jakiś konkretny rocznik za dwieście dolarów? Pamiętała nawet ton jego głosu, kie-

dy to powiedział: „Dwieście dolarów!”. Zupełnie jakby kupiła willę w południowej Francji.

Gdy się poznali, jej przyszły mąż wydawał się bardzo samotnym człowiekiem. Pamiętała jego twarz, kiedy powiedziała do niego „Cześć” tamtego wieczoru w piwnicy knajpy na Manhattanie. Miała przed nim wielu chłopaków, pewnych siebie, zdolnych młodych mężczyzn z motocyklami, talentem muzycznym i rozdętym ego. Żywiołowych. Mężczyzn, jakich pragnę kobiety. Nie było wieczoru, żeby któraś nie spoglądała pożądliwie na jej chłopaka.

Nic takiego nigdy nie zdarzyło się w obecności jej męża. Był przystojny, miał ładne włosy i uroczy uśmiech. Lecz w jego oczach zawsze majaczył jakiś smutek. Może to właśnie on ją do niego przyciągnął tamtego wieczoru. Kiedy go sobie przypomniła, doszła do wniosku, że wtedy nie przejmował się tak wydawanymi pieniędzmi. W każdym razie nie na tyle, żeby to zauważyła.

Potrząsnęła głową. Jak mogła być taka głupia? Tyle razy ją upokarzał, wmawiając jej, że ich na nic nie stać, podczas gdy tak naprawdę nie chodziło o pieniądze.

Chodziło o kontrolę.

Od miesięcy się nie kochali. Był wiecznie zmęczony. Zawsze pracował w gabinecie do późna w nocy. Od czasu do czasu odprężał się przy butelce wina albo przy jaincie i kończyli wieczór w łóżku, ale takie okazje zdarzały się coraz rzadziej.

W tym roku wyczuła, że coś przed nią ukrywa. Kiedy rozmawiali o swoim życiu sprzed ślubu, stawał się chłodny i mało mówny, jakby wzniósł między nimi barierę i pewne części swojego życia zatrzymywał tylko dla siebie. Nawet gdy siedzieli razem na kanapie w swoim nowym domu w Port Lonely, Maria czasem zerknęła na niego dyskretnie i zauważała, że siedzi zatopiony głęboko w myślach, daleki, chociaż trzymał ją za rękę.

Teraz utwierdziła się w swoim przekonaniu. Przez cały czas miała rację.

Jej mąż nie był tym, za kogo się podawał, jej życie wyglądało inaczej, niż to sobie wyobrażała, i najwyraźniej nie miała nad niczym kontroli. Siedziała w pociągu jadącym Bóg wie dokąd i wcale jej się ta podróż nie podobała. Starła się wynajdywać sobie zajęcia, zabijać czas. Lekcje ceramiki z początku wydawały się ciekawym pomysłem, lecz po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że nie znosi dotyku gliny pod palcami. W mieście nie było siłowni, więc Maria wyrobiła sobie nawyk ćwiczenia w domu. Potem jechała do klubu golfowego na śniadanie. To właśnie tam poznała Daryla. Pracował jako kelner. Od początku zwróciła na niego uwagę, ale przez długi czas w ogóle nie rozmawiali. Potem, któregoś weekendu, zbliżyła ich do siebie przytłaczająca nuda Port Lonely. Po rzuceniu zajęć z ceramiki zapisała się na lekcję nurkowania. Kiedy pewnego chłodnego poranka w grudniu przyszła na przystań, zaskoczona, ale i zadowolona zobaczyła Daryla wkładającego skafander. Okazało się, że jest jej instruktorem. Podobały jej się jego uśmiech i ten szczególny wyraz oczu. Trzymali się pod wodą za ręce, a on okazał się cierpliwym i troskliwym nauczycielem. Natychmiast zapisała się na następną lekcję, po której zaproponowała, aby poszli na drinka, i jeszcze tego samego wieczoru wylądowali w motelu.

Od początku wiedziała, że to coś wyjątkowego. Ta świadomość złagodziła jej wyrzuty sumienia. Nie poszła do łóżka z pierwszym lepszym – Daryl był dla niej kimś ważnym. Może popełniła błąd, wychodząc za mąż. Może to on był jej prawdziwą miłością. Przy nim czuła, że żyje. I że to życie toczy się właśnie teraz. W jej małżeństwie prawie wszystko rozbijało się o przyszłość – kiedy mąż nie będzie zajęty, kiedy sytuacja się uspokoi, kiedy znajdzie czas. Daryl zawsze miał dla niej

czas. Zawsze odbierał telefon, kiedy dzwoniła. Zawsze płacił rachunek w motelu i nigdy nie narzekał, gdy nie odzywała się przez kilka dni.

I miał w sobie ogień, prawdziwy żar, kiedy się kochali. Nawet kiedy po wszystkim leżeli, obejmując się w milczeniu, nadal coś ich łączyło. Czuła się przy nim spokojna, a zarazem niebezpieczna. Związek z Darylem dojrzywał. Dawał jej to, czego nie dawał mąż: ciepło. Niczego przed nią nie ukrywał. Zawsze był między nimi kontakt, natychmiastowa, niezaprzeczalna, niemal kosmiczna więź. Czuła się przy nim jak dwudziestolatka – głupiutka, podniecona, otoczona opieką i kochana.

Samochód wziął ostry zakręt, skały znikły i ukazał się ocean. W oddali zobaczyła pierwsze zabudowania przedmieścia. Dwa lata temu siedziała obok świeżo upieczonego męża w jego maserati i wracała tą samą drogą po pierwszym obejrzeniu domu. Kiedy minęli wielkie domy i klub golfowy i w końcu zaparkowali przy Main Street, sądziła, że zbuduje tu sobie życie, w tym spokojnym, niezwykłym i och, jakże cichym miejscu. Mąż wziął ją za rękę i powiedział: „Będziemy tu szczęśliwi”.

I przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Czuli się szczęśliwi. Przez kilka miesięcy pracował nad urządzeniem domu, zwykle odrzucając jej propozycje pomocy, nawet najdrobniejsze; sam malował ściany i sam wybierał kolory. Potem, kiedy remont był skończony, zaczął coraz więcej czasu spędzać poza domem. Wyjeżdżał służbowo z klientami, w weekendy z kolegami na golfa. Wracał zbyt zmęczony, żeby zjeść z nią kolację, którą przygotowała. Maria nie była najlepszą kucharką, ale się starała, a on nawet nie próbował tego docenić. Wkrótce urocze, ciche nadmorskie miasteczko straciło swój urok. To rzeczywiście było nowe życie. Samotne. Pomału Maria zaczęła się czuć, jakby utknęła na najgorszym zadupiu świata.



Daryl minął Main Street i miejsce, gdzie kiedyś Maria i jej świeżo upieczony mąż trzymali się za ręce w zaparkowanym samochodzie. Zamknęła oczy, żeby odsunąć od siebie to wspomnienie. Może jednak dobrze jej zrobi, jak napije się drinka.

W Port Lonely były dwa bary. Maria odwiedziła każdy z nich tylko raz.

U Clarence'a mojito kosztowało dwanaście dolarów, na pianinie grał stary jazzman, który sprawiał wrażenie, jakby próbował przebić się przez instrument na zewnątrz, aby uciec od zapachu środków odkażających i awokado.

W drugim barze nie wiedzieli, co to jest mojito, a gdyby kiedyś zobaczyli awokado, prawdopodobnie by je zastrzelili. Podawali dwa rodzaje alkoholu – piwo i burbon, chociaż podobno w damskie wieczory barman odkurzał butelkę tequili.

Miejscowi woleli ten drugi lokal i zwykle mieli go tylko dla siebie. Od czasu do czasu zabłąkała się tu grupka bogatych młodzików, lecz zwykle wytrzymywali około trzydziestu sekund, zanim jeden z nich albo wszyscy wynosili się z baru przerażeni. Szyld przed wejściem głosił *Bar u Barneya*, chociaż Barney umarł dwadzieścia pięć lat temu, a sądząc po smrodzie dochodzącym z łazienki, pochowano go pod płytami posadzki.

Daryl zaparkował przed Barem u Barneya i kiedy wchodził, Maria wzięła go pod ramię, ponieważ nikt z klubu golfowego nie mógł ich tu zobaczyć. Klientela z klubu, gdzie w niedzielę przychodziło się w krawacie, nie zbliżyłaby się do Barneya na odległość głosu. Mieszkańcy Port Lonely pracowali zwykle u bogatych właścicieli letnich rezydencji, którzy dawali marne napiwki i nie zadawali się z miejscową siłą roboczą.

Poza kilkoma stałymi bywalcami, którzy chyba zawsze przesiadywali przy barze, lokal wyglądał na pusty. Maria wy-

brała stolik w kącie sali, podczas gdy Daryl poszedł po drinki. W środku panował półmrok. Na przeciwległej ścianie buczał neon Budweisera, a z żyrandoli, w których uchowały się jeszcze żarówki, z trudem dochodziła do niej odrobina światła.

Po krótkich negocjacjach z podstarzałym barmanem Daryl przyniósł do stolika dwie tequile i dwa millery na popitkę.

– Wiem, że to trochę popieprzone, ale powinnaś się cieszyć – zauważył Daryl, siadając na skórzanej kanapie obok Marii.

Spojrzała na niego, pokręciła głową i pomyślała o swoim guście w kwestii mężczyzn. Albo byli przystojni i głupi, albo na tyle inteligentni, by okazać się wielkimi kłamcami. W swoim życiu poznała i jednych, i drugich. Jej pierwszy chłopak, z którym była przez dłuższy czas, przyciągał zazdrosne spojrzenia, ale ani jednego zarobionego centa, nie przykładął również ręki do żadnych prac domowych. Drugi, który został jej mężem, okazał się kłamcą. I to piekielnie dobrym. A teraz był Daryl, który czasem mówił bardzo dziwne rzeczy. Uroczy. Kochany. Niewinny jak niemowlę. Boski. W normalnych okolicznościach Maria godziła się z tym, aby jego dziecięca naiwność dodawała mu uroku, lecz tym razem trochę przesadził. Emocje kotłowały się w niej jak muchy wokół neonu Budweisera.

– Czy ty mówisz poważnie? Nie rozumiesz, co on mi zrobił? – spytała, podnosząc głos.

– Och, daj spokój, wiem, że to dziwne, ale spójrz na to od jaśniejszej strony. Jesteś bogata, dziewczyno.

– Nieprawda, wcale nie jestem bogata. Na jakim świecie ty żyjesz?

Daryl rozłożył ręce i w tym momencie wyglądał, jakby się właśnie zastanawiał nad planetą swojego pochodzenia.

– Skoro to przede mną ukrywał, to musiał mieć ku temu powód. Robi coś, co przynosi miliony dolarów, a mnie trzyma

od tego z dala. Dlaczego? Bo jest przestępcą? Bo ma gdzieś inną rodzinę, inne życie? Kurwa mać, co tu się dzieje? Nie pozwala mi wydać ani centa poza tym, co on uznaje za konieczne. Wiesz, ile dostaję od niego pieniędzy na życie? Trzysta dolarów tygodniowo. A kiedy je przekroczyć, to się wścieka. Więc teraz ja jestem wściekła. Czy rozumiesz już, jak to wygląda?

Zbesztany Daryl skinął głową i wziął do ręki kieliszek. Maria stuknęła się z nim, żeby mu pokazać, że nie wścieka się na niego, po czym wychylili całą tequilę do dna. Zapieкло ją w gardle. Rozejrzała się po stoliku za cytryną, lecz Daryl nie zamówił cytryny, więc pociągnęła z butelki długi łyk millera.

– Przykro mi, skarbie – bąknął.

Nie była pewna, czy przeprasza ją za to, że nie przyniósł soli i cytryny, czy współczuje jej sytuacji małżeńskiej. Tak czy inaczej, machnęła ręką, żeby przestał.

Na butelkach z piwem osiadł szron, Daryl zaczął nieświadomie skubać naklejkę na szkle.

– Zamierzasz z nim o tym porozmawiać? – zapytał, odrywając z namaszczeniem kawałek wilgotnego papieru.

Maria pociągnęła łyk piwa. Tak naprawdę jeszcze nie zdecydowała. Nie bardzo wiedziała, co robić. Z jednej strony miała ochotę pomachać mężowi przed twarzą wyciągiem bankowym, z drugiej – pragnęła po prostu odejść i złożyć dokumenty rozwodowe. W głębi serca jednak czuła, że żadna z tych opcji nie jest rozsądna. Powinna poznać więcej szczegółów na temat źródła tych pieniędzy, zanim podejmie jakieś radykalne kroki. Usłyszała odgłos odrywanej naklejki. Daryl cały czas patrzył na nią pytająco.

Prawdopodobnie niepokoi się o siebie, pomyślała. Był zdeenerwowany. Nie chciał, żeby rzuciła mężowi w twarz informację o ich romansie.

„Skąd masz te pieniądze? A przy okazji, pieprzyłam się z

jednym kelnerem z klubu”.

– Nie martw się, nie powiem mu o... o nas – zapewniła.

W pierwszej chwili zamierzała powiedzieć „o tobie”, lecz w ostatnim momencie zmieniła zdanie. Tajemnicza historia z pieniędzmi wzniosła nową nieuchronną barierę między nią a mężem i zbliżyła Marię do Daryla. Przestała mieć opory przed mówieniem na głos o tym, co ich łączyło. To było coś realnego, może nawet jeszcze bardziej po tym, co się wydarzyło. Czasami rozmawiali o tym, jak wyglądałoby ich życie, gdyby odeszła od męża. Widziała, że Daryl tego pragnie, ale się denerwuje. Powiedział, że niewiele może jej zaoferować. Pracuje jako kelner, uczy nurkowania, surfingu, zdaje sobie sprawę, że marny z niego partner, jeśli chodzi o bezpieczeństwo finansowe, i bardzo się tego wstydzi. W takich momentach Maria zapewniała go, że nie obchodzi jej, ile zarabia, lecz w głębi ducha martwiła się tym. Chciała się czuć bezpieczna. Potrzebowała tego. W jej życiu pieniądze zawsze stanowiły problem i nie miała ochoty znowu się z nim borykać. Niewykluczone, że dlatego trzymała się kurczowo swojego małżeństwa. Dla poczucia bezpieczeństwa. Nawet jeśli to było tylko trzysta dolarów tygodniowo.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni, wyjęła wyciąg bankowy i rozłożyła go na stole.

Wszystkie wpłaty pochodziły od firmy o nazwie LeBeau Enterprises. To nie brzmiało całkiem obco. LeBeau poruszało w jej głowie jakąś znajomą nutę. Powtarzając je w myślach, próbowała sobie przypomnieć, czy mąż o tym wspominał, lecz nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. Mimo to była pewna, że jeśli spokojnie się nad tym zastanowi, na pewno coś jej zaświta.

– Słyszałeś kiedyś o LeBeau Enterprises? – spytała.

Podczas gdy Daryl się zastanawiał, Maria obserwowała, jak

jego oczy wędrują po podłodze. Po kilku sekundach pokręcił lekko głową, zmarszczył czoło, lecz nic nie powiedział. Zamknął oczy i zacisnął zęby.

– Ale coś mi ta nazwa mówi, a tobie nie?

– Tak, mnie chyba też. Nie wiem... to dziwne, coś mi chodzi po głowie... ale nie mogę sobie przypomnieć. Może nie myślę jasno. – Rozejrzała się po ponurym barze. Na myśl o kłamstwie męża coś ją ścisnęło za gardło, więc kiedy się odezwiała, głos jej drżał z nadmiaru emocji. – Kogo ja oszukuję? Dobrze wiem, że nie myślę jasno.

– Mogę jeszcze raz na to spojrzeć? – spytał Daryl.

Powiedział to z nutą optymizmu w głosie, więc Maria podała mu dokument. Przejrzał pozycje wyciągu, po czym wyjął komórkę i wpisał coś, stukając w ekran. Przewijając wyniki, porównywał je z wyciągiem bankowym. W końcu się uśmiechnął.

– Sukinsyn – rzucił.

– Co?

– Pasuje. Jasny gwint, pasuje!

– O czym ty mówisz? – dopytywała się Maria, wyciągając własny telefon.

– Daj mi chwilkę. Sprawdzę jeszcze raz.

Lecz Maria nie mogła wytrzymać. Wpisała w okienko *Le-Beau Enterprises* i wgrała Wyszukiwanie. Przez górny brzeg ekranu przelatywała biało-niebieska linia. Najwyraźniej sygnał w barze był kiepski. Miała ochotę zapytać barmana, czy nie mają Wi-Fi, lecz kiedy się obejrzała, zobaczyła, jak facet za barem wciska przyciski w pilocie telewizora, i rozmyśliła się.

Daryl odwrócił swoją komórkę i podsunął jej przed oczy.

– Może twój mąż jest tym facetem?

Maria wzięła od niego telefon i zobaczyła stronę interneto-

wą z książkami pisarza o nazwisku LeBeau.

– Daty przelewu na wyciągu bankowym pokrywają się z terminami publikacji ostatnich książek J.T. LeBeau – oznajmił Daryl.

Stuknęła palcem w fotografię okładki z wężem i pistoletem, przewinęła w dół i sprawdziła datę wydania. Potem spojrzała na dokument z banku. Data rzeczywiście się zgadzała. Powtórzywszy tę samą czynność dla dwóch kolejnych powieści, otrzymała ten sam wynik. Płatność w wysokości miliona dolarów w dniu publikacji.

– Co to znaczy? Co to ma wspólnego z Paulem? – spytała.

Daryl splótł ręce na piersi i uśmiechnął się z samozadowoleniem.

– Nie rozumiesz? Ależ to bomba! Twój mąż, Paul Cooper, to J.T. LeBeau.

Maria odłożyła telefon na stolik i zdała sobie sprawę, że ma otwarte usta.

– Kim jest J.T. LeBeau, do cholery?